

JUSTYNA BEDNAREK

DOM NUMER PIĘĆ

Książka Roku 2021
Polskiej Sekcji IBBY

znak emotikon

JUSTYNA BEDNAREK

DOM NUMER PIĘĆ

ilustracje
Anna Sędziwy



znak emotikon

Kraków 2026

Wszystko zaczęło się od tego, że Eryk schował mi okulary. Zapewne uważał, że to doskonały dowcip – bez nich prawie nic nie widzę, choć i w okularach nie mam sokolego wzroku. Delikatnie mówiąc. A to przecież takie zabawne, gdy człowiek zaczyna się o wszystko potykać i macać dookoła – może jednak trafi na te swoje szkła? Mam nadzieję, że słychać w moim głosie ironię...

Zdarzyło się to po lekcji WF-u. Przez poprzednie lata było tak, że nauczyciele nie zmuszali mnie, bym wykonywał trudne ćwiczenia czy grał w koszykówkę. Wiedzieli, że mam słaby wzrok i po prostu mi odpuszczali. Ale nie pan Gliwiusz. On wszystko robił inaczej. Na przykład kazał mi biec na czas. Przy tej okazji przekonałem się, że jednak potrafię szybko przebierać nogami. Nie powiem,

na mnie samym zrobiło to pewne wrażenie, ale pan Gliwiusz nie wyglądał ani na zaskoczzonego, ani na zadowolonego.

– Umieszszybciej, stać cię na więcej! – powiedział.

Nie odpuszczał też w grach zespołowych. Do tej pory, gdy ludzie z klasy grali w nogę czy w kosza, sami dobierali się w grupy. I tak już wypadło, że jedna grupa była wyraźnie mocniejsza od drugiej. W zasadzie niepotrzebne były mecze, każdy wynik dał się z góry przewidzieć. Eryk, rzecz jasna, należał do drużyny zwycięzców. Ja nie należałem do żadnej. Zwykle siadałem na ławce jako rezerwowowy. Tej słabszej grupy, ma się rozumieć. Ale też czasem łąziłem bez celu po szkole. Nie buntowałem się. Po prostu tak się czasem dzieje, że ktoś się rodzi z chorymi oczami albo chorymi nogami. Nie ma sensu robić z tego szczególnej historii. Pan Gliwiusz najwyraźniej uważał inaczej. Po którejś lekcji dokonał nowego podziału na grupy według własnego uznania.

– A ty dlaczego siedzisz na ławce? – zwrócił się wtedy do mnie. – Będziesz grał z nimi.

I wskazał mi jedną z grup.

– Ale ja... – zacząłem niepewnie. – Mam bardzo mocne okulary.

– To świetnie – uśmiechnął się pan Gliwiusz. – Masz w takim razie szansę, żeby trafić do kosza.

I tak wszedłem do gry. I to od razu: mieliśmy po lekcjach rozegrać mecz. Nie powiem, żebym był tak całkiem zielony, jeśli chodzi o koszykówkę. Zdarzało mi się grać dawniej, z tatą, gdy jeszcze lepiej widziałem... stare dzieje. Coś tam, w każdym razie, pamiętałem. Na przykład, że to było bardzo przyjemne. Pewnie dlatego – aż głupio mi o tym mówić, bo musiałem po prostu mieć farta – no więc pewnie dlatego w decydującym momencie trafiłem do kosza. Nasza drużyna – roboczo nazwana drużyną Rudych, bo grała z nami Majka, która ma rude loki – wygrała z drużyną Zielonych. Ta druga nazwa wzięła się od zielonej koszulki Eryka.

– Rudzi górą! – zawołał pan Gliwiusz, a potem przybił mi piątkę.

Byłem wniebowzięty. Wszyscy wyglądali na mocno zdziwionych i gratulowali mi rzutu. Oczywiście Eryk był wściekły. Tak wściekły, że od razu wiedziałem, że nic dobrego z tego nie może wyniknąć.



No więc okulary. Zanim opowiem o tym, co się wydarzyło po meczu, muszę się trochę cofnąć w czasie. Kiedy się urodziłem, moi rodzice byli bardzo szczęśliwi. Czekali na mnie piętnaście długich lat. Zaczęli już godzić się z myślą, że nigdy nie będą mieć dzieci, ale wtedy pojawiłem się ja. Gdy byłem młodszy, uwielbiałem, jak mama przed zaśnięciem opowiadała mi o naszym pierwszym spotkaniu.

– Przed wyprawą do szpitala przyszła do mnie moja koleżanka fryzjerka, żebym ładnie wyglądała na powitanie najważniejszego członka rodziny – mówiła.

– I zakreśliła ci włosy? – pytałem zawsze.

– I zakreśliła mi włosy. Chciałam ci się podobać.

– Podobałaś mi się od pierwszego wejrzenia – powtarzałem, a mama się śmiała.

– Ty mi też, skarbie! Jak stąd do księżycyca!

Takie właśnie były te miłe początki, tylko że nie wszystko było ze mną całkiem w porządku. Dość szybko okazało się, że mam bardzo chore oczy i mojej choroby nie da się leczyć.

– A będzie tylko gorzej i gorzej – powtarzał podczas każdej wizyty lekarz, dobierając kolejne, jeszcze mocniejsze okulary.

Co tu gadać, nie wyglądało to różowo. Prawdę mówiąc – nie wyglądało wcale.

Moja mama strasznie się tym przejmowała i popłakiwała w kuchni, myśląc, że tego nie widzę. No dobra – nie zawsze widziałem, ale całym sobą czułem, że mama płacze. Pewnego razu, gdy i mnie udzielił się jej smutek – bo tak na co dzień starałem się o tym nie myśleć – tata wziął mnie na bok i powiedział:

– Wiesz, zwykle tak bywa, że u ludzi, którym szwankuje jeden ze zmysłów, lepiej rozwija się inny. Bardzo często niewidomi mają świetny słuch. I dotyk. Słyszałeś na pewno o takich piosenkarzach jak Andrea Bocelli, Ray Charles czy Stevie Wonder...

– Phi – prychnąłem – starocie. Nikt tego już nie słucha.

– No dobra – zgodził się tata – może i nie słucha dziś, ale kiedyś... kiedyś to był szaf! Dwadzieścia lat temu wybraliśmy się z mamą na koncert Raya Charlesa i powiem ci, chłopie, że to było niesamowite przeżycie! A jak zaśpiewał *Hit the Road, Jack...*



– Dobra, wierzę ci na słowo – przerwałem mu. – Tylko że ja nie mam dobrego słuchu. Za to lubię obrazy. Myślę obrazami, lubię sobie różne rzeczy wyobrażać. Mógłbym może rysować albo tworzyć grafiki komputerowe, ale nigdy się o tym nie przekonam, bo przecież nie ma ślepych malarzy. Tak jak nie ma głuchych kompozytorów.

Tata poklepał mnie po ramieniu i już miał wyjść z pokoju, ale zmienił zdanie i usiadł obok mnie na łóżku.

– Nie musi być tak, jak mówisz, o tych ślepych malarzach i głuchych kompozytorach. Taki Beethoven przecież stracił słuch, a mimo to komponował. Kazał skrócić nogi swojego fortepianu, żeby podłoga drgała, kiedy grał. I wtedy te drgania przypominały mu dźwięki. Był też malarz, Degas. Na starość ośleplł, więc zaczął rzeźbić. Tworzył obrazy palcami. Chodzi o to, czy dasz się powstrzymać, czy nie. Czy się poddasz, czy zawalczysz. Ja tam w ciebie, Piotrusiu, wierzę.

★★★

Piotrusiu... Aż dostałem gęziej skórki. Nie cierpiałem, kiedy mówili do mnie jak do małego dziecka.

Wolałem: Piotrek, Piter albo Pepe. To ostatnie najbardziej. W szkole nazywali mnie czasem Kobra – ze względu na okrągłe okulary, które kiedyś nosiłem. Od dawna mam inny kształt oprawek, ale przydomek zostało. Zresztą nie doskwiera mi ono bardzo. Kobra to groźny, jadowity wąż. I lepiej być groźnym, jadowitym wężem niż biednym, stojącym z boku ślepiakiem, nad którym każdy się lituje.



Wszystko, co opowiadam, było jakiś czas temu. Zabawne, bo wtedy miałem jeszcze nienajgorszy wzrok. Było na tyle nieźle, że gdy pewnego razu utopiłem swoje okulary w kanałku – po prostu spadły mi z nosa, gdy wychyliłem się z mostu – mogłem kilka dni funkcjonować bez nich. Choć widziałem słabo, umiałem jednak odróżnić człowieka od cielaka. Cielaka mogłem pomylić z psem,

ale z człowiekiem już nie. Pamiętam, że poszliśmy wtedy z mamą na spacer – do miejsca, gdzie mieszkała jako mała dziewczynka. To całkiem blisko naszego domu. Trzeba przejść na drugą stronę ulicy i iść przed siebie jakiś kilometr. Najpierw mijają się przystanek autobusowy, potem wchodzi się na elegancki nowoczesny wiadukt, a gdy się przejdzie na drugą stronę, człowiek znajduje się na terenie starych działek – i już jesteśmy obok domu, w którym mieszkała mama.

Na te stare działki chodzili z tatą na randki, kiedy jeszcze byli chłopakiem i dziewczyną. Umawiali się pod ogromnym kasztanem albo w „Holandii” – tak nazywali drogę od domu mamy do wiaduktu oraz sam wiadukt. Zdaniem rodziców wyglądał tak jakś zagranicznie i nowoczesnie, dlatego „Holandia”.

No więc tamtego dnia, gdy jeszcze całkiem nieźle widziałem i gdy czekałem na nowe okulary (bo stare utopiły się w kanałku), szliśmy z mamą wiaduktem i ona opowiadała mi różne historie z czasów, gdy sama miała tyle lat co ja.

– Lubiłam przychodzić tu z psem i zdarzało się, że w tych chaszczach znajdowałam różne przedmioty. Przedwojenny bidon albo dziurawą

przykrywkę do garnka. Jednak największym znaleziskiem była czaszka z jednym zębem.

– Czaszka? – O, to naprawdę było ciekawe.

– Z czasów wojny – powiedziała mama. – Rozstrzelano tu mnóstwo osób i ich kości wychodziły z ziemi za każdym razem, kiedy próbowano kopać.

– I co się stało z tą czaszką? – spytałem. Trochę miałem nadzieję, że mama ją gdzieś schowała. Ale nie.

– Wezwaliśmy z tatą policję, ale oni od razu powiedzieli, że to na bank znalezisko z czasów wojny, zabrali ją i pojechali na komisariat.

Byłem trochę rozczarowany – już sobie wyobraziłem, jak opowiadam o czaszce w szkole... Chociaż właściwie – komu miałem opowiedzieć. I po co. Nie miałem prawdziwych kumpli. Wtedy jeszcze nie.

W trakcie tamtego spaceru dowiedziałem się, że sto, dziewięćdziesiąt i osiemdziesiąt lat temu na terenie działek mieszkało sporo ludzi. Stąd brały się te wszystkie przedmioty. Gdzieniegdzie widać było zarys fundamentów domów. Albo rząd bżów – po nich można się było zorientować, gdzie stał drewniany płot, bo dawniej wzdłuż płotów sadzono właśnie bzy. No więc kiedy tak szliśmy sobie z mamą po moście i kiedy ona opowiadała mi

o wszystkim, co tu kiedyś było, nagle wydało mi się, że widzę, niewyraźnie, wśród krzaków białe budynek. Był trochę jak cień. W sumie przecież wszystko widziałem zamazane. Niewyraźne były bloki, most, drzewa – tak to już było z moją chorobą, że zabierała mi po kolei obrazy wszystkich rzeczy na świecie, wcześniej jednak trochę je pozamazywała.

– Widzę dom – powiedziałem do mamy.

– Jaki dom? Gdzie? – zdziwiła się.

– Wśród drzew. Biały dom z czerwonym dachem. – Wskazałem ręką w stronę osady.

Mama bardzo się zmartwiła, że opisuję coś, czego tak naprawdę nie ma, i uznała, że to wina choroby. No i braku okularów. Specjalnie się tym nie przejąłem i szybko zapomniałem o naszym spacerze.

Wróćmy do feralnego dnia w szkole. Pan Gliwiusz kazał mi grać w koszykówkę i nasza drużyna wygrała – dzięki temu,





że jakimś cudem udało mi się trafić piłką do kosza. Eryk się wściekł, bo chyba po raz pierwszy w życiu znalazł się wśród przegranych, i zgadnijcie, na kim postanowił wyładować złość.

Po meczu pierwszy wbiegł do szatni i schował mi moje bardzo, bardzo mocne okulary. Dużo mocniejsze od tych, które utopiłem kiedyś w kanałku. Choroba nie odpuszczała.

– Ciekawe, jak teraz sobie poradzisz, Kobra... No, zacznij syczeć, Kobro. – Śmiał się złośliwie. – Jeśli ładnie zasyczysz, to może ci oddam bryle.

Eryk był naszym klasowym szefem wszystkich szefów. Śmiano się zawsze z jego dowcipów i go słuchano. Mówiąc: „zasycz ładnie, Kobro”, odwrócił się w stronę chłopaków. Wyraźnie słyszałem ich chichot. No ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Tomek, który podobnie jak Eryk należał do drużyny Zielonych, zaczął mnie bronić.

– Odczep się od niego – powiedział, stając obok mnie. – To, co robisz, jest słabe. Oddaj mu okulary.

– Masz jakiś problem? – Eryk na moment odczepił się ode mnie i podszedł do Tomka. Złapał go nawet za koszulkę. Szykowała się prawdziwa awantura i kto wie, jakby się to skończyło, gdyby do szatni nie wszedł pan Gliwiusz.



Redaktorki inicjujące, które wpadły na pomysł wydania tej książki:

Anna Steć, Dorota Trzcinka

Redaktorka prowadząca, która opiekowała się projektem:

Agata Stęplewska

Ilustracje, czyli kto stworzył rysunki do książki i na okładkę:

Anna Sędziwy

Projekt okładki, czyli kto ułożył na niej wszystkie napisy:

Karolina Korbut

Korektorka, która poprawiła błędy w książce:

Sylwia Stojak

Opieka produkcyjna, czyli kto ułożył tekst na stronach
i przygotował książkę do druku:

David Kwoka

Promotorka, która zadbała, aby wszyscy dowiedzieli się o książce:

Wiktoria Liana

Copyright © by Justyna Bednarek

Copyright © for the illustrations by Anna Sędziwy

Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2026

Książkę wydało dla ciebie Wydawnictwo Znak Emotikon,
imprint Grupy Wydawniczej Znak

ISBN 978-83-8427-385-2

Przeczytaj, co o książce sądzą inni czytelnicy,
i oceń ją na lubimyczytac.pl

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach:

www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569

e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I (Znak), Kraków 2026

Printed in EU